Rok 1937 6 czerwca Nr 23

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Z poezji Lucjana Rydla

Procesja

U baldachimu czterech gospodarzy
Krzepkich, jak dęby stuletnie — i zda się,
Że to lechiccy władykowie starzy,
Co wespół z Piastem żyli w dawnym czasie.
Jakiś majestat senatorski w twarzy
I sukman białość, i na ciężkim pasie
Moc niezliczona gwoździków mosiężnych
U tych włoskowych magnatów siermiężnych.
Sam pan kolator księdza wiódł pod ramię,
Świecę woskową niosąc w drugim ręku;
A proboszcz, cały w pozłocistej lamie,
Nad czołem zgiętym od świętego lęku
Dzierży monstrancję, na której się łamie
Sto strzał słonecznych, i szedł wśród pobrzęku
Dzwonów i z pieśnią, której wiara żywa
Serca i głosy w błękit gdzieś porywa.
Ołtarz wzniesiony był w rogu cmentarza,
Pod lip ogromnych cienistym namiotem.
Tam stanął pochód. Na stopniach ołtarza
Ksiądz ewangelię odczytał, a potem
Podniósł monstrancję... Jako się przeważa
Łan zgięty wichrem — tak się kładł pokotem
Lud, a chorągwie skłonione w tej chwili
Były jak drzewa, gdy je burza chyli.
I tak leżała owa ludzka ława
Cała w kolorach świetnych, jako łąka
Przepychem kwiecia barwnego jaskrawa,
A po niej cieniów lipowych koronka
I jasność słońca chodziła złotawa.

. . . .

Cisza... Wtem zabrzmiał głos srebrzysty dzwonka
I z piersi tłumu w słoneczne przestrzenie
Buchnęło wielkie, przeciągłe westchnienie.
Jak lipy, w których letni powiew drzemie,
Z podniesionymi stojące ramiony,
Tak ksiądz ramiona zdał się mieć olbrzymie,
Kiedy monstrancji krąg rozpromieniony
Dźwignął. I była w kadzidlanym dymie
Jak drugie słońce. W cztery świata strony
Zwracał się ponad mnóstwem ludu zgiętym
I zaczął: Przed tak wielkim Sakramentem!

Królewicz — nie z bajki

W zeszłym tygodniu — jak wiadomo, bawił w Warszawie gość niezwykły. Niezwykłym był ten gość nie dlatego, iżby pochodził z dalekich krajów, ale dla swojego młodziutkiego wieku. Królewicz rumuński bowiem, książę Michał liczy zaledwie lat 16. Przyjechał on do Polski dla zaproszenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do Rumunii w imieniu ojca swego, króla Karola II, ojczyznę jego bowiem łączą z Polską bardzo serdeczne węzły przyjaźni i poważania.

Książę Michał zatem należy jeszcze do młodzieży, to też z pewnością zaciekawią czytelników „Dzwoneczka" wiadomości o jego życiu, kłopotach szkolnych i radościach, o jego obowiązkach i zabawach.

Otóż królewski jedynak przechodzi w tym roku VI klasę liceum, czyli szkoły średniej wraz z 11 kolegami, jakich mu dobrano ze wszystkich warstw społeczeństwa. A więc są między nimi synowie profesora i robotnika, kupca i wieśniaka, adwokata i oficera, maszynisty kolejowego i t. d. Poza tym jest jeszcze dwóch przedstawicieli narodów, jakie w mniejszości zamieszkują Rumunię: jeden Węgier i jeden Niemiec, zwany tam Sasem. Istniejąca dla tych 12-tu chłopców szkoła mieści się w najpiękniejszej części parku królewskiego w Bukareszcie, a uczą w niej — oczywiście — najświetniejsi profesorowie. Nauka odbywa się przeważnie na świeżym powietrzu, przeplatana zaś jest gimnastyką,

sportem i różnymi rozrywkami. Poza tym uczniowie odbywają wraz ze swymi wychowawcami wycieczki naukowe po całym kraju i za granicę, a do podróży tych służy im specjalny autobus. Uczą się zatem w ten sposób geografii i historii swego kraju, poznają zabytki sztuki ludowej, zaznajamiają się z ciężką pracą na roli, w kopalniach, fabrykach i warsztatach, uczestniczą też i w zabawach ludu rumuńskiego, poznając jego zwyczaje i obyczaje.

Oprócz tego królewicz przechodzi kurs lotnictwa, a poprzednio przyswoił sobie już umiejętność jazdy samochodem i jest znakomitym kierowcą. Uprawia też inne sporty, jak jazdę na łyżwach i nartach, pływa i wiosłuje, a za przykładem ojca ponad wszystko przepada za polowaniem i może się już pochlubić liczbą 82 sztuk dzikiego ptactwa upolowanego w ciągu jednego dnia. Nie dość jednak na tym. Książę Michał znajduje także czas na muzykę, kształci się w obcych językach, wreszcie bierze żywy udział w życiu harcerskim, gdyż ojciec jego jest naczelnym skautem w Rumunii. Odbywa więc wszystkie ćwiczenia skautowe, chodzi na zbiórki, — uczestniczy w „gawędach" obozowych, a nawet sam je wygłasza przy ognisku, poczem je drukuje w czasopismach dla młodzieży. Za otrzymaną raz za to zapłatę kupił sobie książkę historyczną.

I jeszcze nie koniec zajęć pracowitego żywota królewicza. Co roku bowiem w czasie wakacji musi spędzać pewien czas w szkole wojskowej i tam wraz z innymi kadetami odbywa służbę żołnierską. Wstaje więc o godzinie 6 rano, sam ściele łóżko, czyści buty, myje się pod zimnym prysznicem i po zjedzeniu prostego śniadania, maszeruje na ćwiczenia. Dosłużył się już stopnia sierżanta, z czego jest bardzo dumny. Wkrótce dostanie szarżę oficerską. Ponad to w wolnych chwilach bierze udział w przedstawieniach teatralnych młodzieży, sam nawet pisze dla niej zabawne sztuki i wymyśla kostiumy.

Należałoby już skończyć opis spędzanego czasu przez młodziutkiego księcia, a przecież nie można pominąć, że poza wszystkimi zajęciami, które tak szczelnie wypełniają dzień królewicza Michała, są jeszcze sprawy bardzo ważne, od jakich wolni są wszyscy jego koledzy i rówieśnicy. Oto przyszły król, przyszły władca państwa musi zawczasu przygotowywać się do godnego i odpowiedzialnego noszenia dostojeństw, jakie go czekają, wielkie bowiem obowiązki łączą się przecież zwykle z berłem i monarszą koroną.

Widać, że i pod tym względem jest uczniem pojętnym, skoro ojciec nie wahał się wysłać go w swoim zastępstwie na tak wspaniałą uroczystość, jaką była koronacja królewskiej pary angielskiej i zjazd w Londynie dostojników z całego świata, a następnie wizyta u Prezydenta Polski w Warszawie.

Imię Michała otrzymał książę na pamiątkę znakomitego hospodara wołoskiego Michała Zwycięzcy, który w XVI wieku zjednoczył pod swym berłem Wołoszczyznę i Mołdawię z Siedmiogrodem i w nowej stolicy Alba Julii, został księciem zjednoczonych ziem dzisiejszej Rumunii. Po nim to piastuje młodziutki następca tronu rumuńskiego zaszczytne miano „wielkiego wojewody Alba Julii".

Polska witała serdecznie królewskiego syna Rumunii, a już w szczególności otwarła mu serca młodzież harcerska, goszcząc go drugiego dnia pobytu w obozie swoim na Bielanach pod Warszawą. Tam nawet uczęstowały go harcerki świeżo usmażonym przez siebie naleśnikiem, który mu bardzo smakował. Po śpiewach, tańcach i defiladzie, żegnany przez hufce zuchów, orląt, junaków i t. p. opuścił królewicz gościnny obóz polskiej młodzieży, aby skierować swe kroki ku oczekującemu go na dworcu kolejowym pociągowi, jaki za wieźć go miał z powrotem do ojczystego kraju.

Nazajutrz „wielki wojewoda" powrócił też do szkoły.

Wyprawa na lądolody

(Ciąg dalszy)

Szczególne zainteresowanie polskich uczonych budzi Grenlandia także i z tego powodu, że podobną skorupą lodową jak ona, była niegdyś, niegdyś, przed milionami lat pokryta i Polska, jak w ogóle prawie cała środkowa Europa. Było to jeszcze w tak zwanej epoce lodowej, po której nastąpiły na kuli ziemskiej olbrzymie zmiany: – poprzesuwały się lody, powyłaniały się lądy, ustąpiły lub powstały morza, wystąpiły góry, zapadły się lasy (tworząc z czasem kopalnie węgla), rzeki żłobiły łożyska, ginęły pewne rodzaje zwierząt i roślin, powstawały nowe, zmieniał się lub utrwalał klimat itd. itd.

Ruch ten wieczysty i zmiany trwają ciągle, ale uwidoczniają się dopiero po wiekach, dlatego to nie wiadomo, jak będzie wyglądało na kuli ziemskiej po nowych tysiącach lat, skoro taka n. p. Grenlandja, będąca dzisiaj olbrzymim lądolodem, zanurza się w oceanie w przeciągu 100 lat zaledwie na głębokość 2 metrów. Może więc stopnieją na niej z czasem odwieczne lody, klimat się ociepli i ociepli się także klimat całej Europy, wielce dziś zależny od tych straszliwych lodowych pustyń Północy.

Eskimosi, których jest na Grenlandii i okolicznych wyspach około 16 tysięcy rozrzuconych na przestrzeni blisko 25 tysięcy kilometrów, mimo, że żyją w tak ciężkich warunkach, są jednak z natury pogodni, a nawet weseli. Najlepiej znają ich misjonarze, którzy, wyrzekłszy się dla siebie w życiu wszystkiego, poszli między ten lud daleki, aby zasiać tam ziarna Chrystusowej nauki, dzieląc z nimi wszelkie trudy i niebezpieczeństwa.

Mieszkanie robią sobie Eskimosi ze śniegu, a jest nim właściwie niska, kopulasta pieczara z małym otworem, przez który wchodzi się na czworakach. Latem rozbijają namioty ze skóry renów. Ze skór tych zwierząt robią sobie też ubrania, w których chodzą zarówno zimą jak latem, jednako w spodniach mężczyźni, jak i kobiety.

Całe życie tego ludu schodzi wśród nieustannej walki o byt i może właśnie dla osłody użyczył mu Stwórca wielkiej zdolności i zamiłowania do muzyki i śpiewu, oczywiście odmiennych zupełnie od naszych.

Jeden z misjonarzy, mianowicie z zakonu Oblatów Marii Niepokalanej wyraża się, iż Eskimos śpiewa całą duszą. Wpływa zapewne na to głuchy spokój i jednostajność jego ojczystego kraju, dlatego też Eskimos nie znosi hałaśliwych instrumentów ani krzykliwego śpiewu. Wyjątek stanowią tylko czarownicy, którzy w czasie pogańskich obrzędów urządzają prawdziwie dzikie wrzaski. W śpiewie stara się Eskimos oddać głosy przyrody, która go otacza, a więc szum rzek, poświty huraganów itp. Jest on tak w swej muzyce zakochany, że trudno mu się zdobyć na pochwałę nawet największych mistrzów obcych krajów świata kulturalnego. — I tak — opowiada ów misjonarz — gdy pewien podróżnik zagrał Eskimosom jeden z utworów znakomitego twórcy niemieckiego Wagnera, oni z uśmiechem politowania wyrazili się, że wiele w tym tonów, ale mało muzyki.

(C. d. n.)

SZARADA.

Pierwsze — **drugie** nie używaj,
Jak i żadnej wódki,
Od każdego alkoholu
Rozum bowiem krótki.
Drugie — **pierwsze** nie przesadzaj,
Radzę także szczerze,
Bo od tego znów ubranie
Znajdzie się w ofierze.
Trzecie — **trzecie** dziecko małe
Otacza opieką
Czuwa nad nim dniem i nocą,
Choć ją oczy pieką.
Całość — kraj zaprzyjaźniony
Z Polską, swą sąsiadką,
Jak i ona wielkich ludzi,
Wielkich wodzów matką.

ROZWIĄZANIE SZARADY Z NR 21:
Ba, sień, ka — Basieńka

Niespodzianki wyprawy myśliwskiej

Opowiedział Marian Warta. (Ciąg dalszy)

— Przepraszam — żartował pan Wiktor — ale widocznie nie byłeś pan celującym w studiach nad zoologią. Ponieważ foka, to cielę morskie, krowa morska, ale nie lew Oceanu.

— Dajże pokój, kochanku — wtrącił się wuj Raula — muszę go wziąć w obronę, bo przecież i on ma trochę słuszności. Lew morski jest wszak blisko spokrewniony z foką, podobnie jak mors czyli koń morski. A zresztą to tylko na lądzie, moi panowie, łatwo odróżnić krowę od konia, a tym bardziej cielę od lwa. Na morzu znacznie trudniej.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a pan Wormus tłumaczył im, że podręczniki zoologii wprowadziły pewne bałamuctwo w nazwach i niejeden niesłusznie, na podstawie książki, z której się uczył, nazywa fokami nie tylko krowy i konie morskie, żyjące w morzach północnych i dostarczające mięsa, tłuszczu i skór Grenlandczykom, ale także, mniej znane, tamtych fok krewniaki — lwy morskie, spotykane w morzach otaczających południowy koniec Ameryki Południowej. Jedne i drugie są zwierzętami szarymi, pletwonogimi, z ciałem ku tyłowi zwężonym. Nogi mają krótkie, palce spięte błoną pletwową.

— Ale pamiętacie — mówił dalej — że u foki grenlandzkiej, cielęciem zwanej, tylna para nóg jest w tył skierowana, niby ogon pletwowaty. Tymczasem lew morski nie ma w tył zwróconych nóg tylnych. Jego nazwa pochodzi stąd, że samce posiadają wspaniałą grzywę. Na jedne i drugie polują ludzie nie tylko dla ich tłuszczu i mięsa, ale także dla cennych skór, nie przepuszczających wody.

— I właśnie dowiedziawszy się, że pan podobno tak gorąco pragnie osobliwych wrażeń — zwrócił się Wiktor do Karola — a pański przyjaciel również nie będzie od tego, podsunąłem myśl memu przyszłemu teściowi, by korzystając z wolnego czasu, jakim panowie rozporządzacie jeszcze, zapolować na lwy

— Pyszna myśl — zawołał Karol, niezwykle uradowany, jakkolwiek nie miał jeszcze wyobrażenia, jakiego rodzaju może być takie polowanie.

— Więc się panowie godzicie na to?

— Ależ nie ulega wątpliwości.

— Zatem możemy się zająć od razu przygotowaniami — rzekł Wiktor. Poczem wyszli na plac portowy i wmieszali się w tłum ludzi o rozmaitej barwie twarzy i pstrym odzieniu.

— Kto tu z was najmował się kiedy do polowań na lwy morskie? — pytał pan Wormus, zbliżając się do grupy Indian.

Zapewniali go wszyscy bez wyjątku, że w tego rodzaju łowach brali nieraz udział, lecz z kilku odpowiedzi bałamutnych na rzucone im umyślnie pytania spostrzegł zaraz pan Edward, że nie mieli nawet pojęcia o co idzie.

Dopiero po dłuższej chwili wdał się w rozmowę z dwoma Malajczykami o cerze brunatnej i długich kędzierzawych włosach, ukrytych pod zawojem z kolorowej materii.

Ci w istocie znali się na tym, do czego chciano ich nająć, brali bowiem nieraz udział w podobnych polowaniach. Co więcej okazało się, że byli dobrymi znajomymi wuja Raula.

— Wyobraźcie sobie, moi chłopcy, że ja z tymi czekoladowymi twarzami raz już polowałem na lwy morskie. Nie przeczuwałem tylko, że ich tu spotkam w Callao między portowymi wioślarzami. Niegdyś pracowali w moich kopalniach, kiedy jeszcze mieszkałem w Chili i wówczas zabrałem ich z sobą do Chimbote na łowy. Cały miesiąc pomagali mi uganiać się za lwami morskimi. Myślałem, żeście wrócili w rodzinne strony na Sumatrę — zwrócił się pan Wormus do nich, poczem zaczął się umawiać, czy zgodzą się na nową wyprawę.

(Ciąg dalszy nastąpi).